

Opowieść Złotowa Gusi



XI OZNI Kudowa Zdrój,
23 - 26 czerwiec 2011 r.

wydanie II poprawione

Od autora:

Złot jest bardzo wyjątkowym i nietypowym spotkaniem ludzi. Zwykłych ludzi, którzy mają w sobie radość, wiarę, miłość, ale także problemy i smutek. Nieraz to wszystko się miesza... Człowiek jest niepewny swojego postępowania i swoich uczuć. Czy ludzie z całej Polski potrafią się dogadać? Czy mnie przyjmą w swoje szeregi? Patrzymy na siebie z niedowierzaniem... Ten kto bardziej otwarty i przebojowy da radę... Ci skryci czekają, aż się ich zauważy. Tu jednak nie pomija się nikogo. Pamiętajcie!! Każdy jest równy - nie ważne, jaką funkcję pełni. Dyrektor, Opek, zwykły nauczyciel, czy też osoba towarzysząca. Ale co gdy z tego wariata, który zawsze dawał się we znaki uchodzi powietrze, nie chce mu się istnieć... Wszyscy to zauważają... Bez sensu, może lepiej grać, udawać - by nikt nie poznał... Nie, nie tu. Ludzie życzliwi, bezinteresownie życzliwi zauważą wszystko. Po co udawać... i tak się wyda. Można pogadać o wszystkim, o radościach, problemach... szkoda, że raz w roku... Ładuje się baterie, ale czy wytrzymają aż tak długo? Nie wiadomo...

Wielkie dzięki dla Iwonki i Małgorzaty (nie zabiły mnie nad ranem, choć nie wiele brakowało, ale o tym później), dla Izy (ona chciała... ☺), dla Marka (za niszowe, przy nich chce się żyć - oczywiście, jeśli się takie lubi), dla Piotra (za podrzucenie do domu, ale przede wszystkim za przemiłą podróż i rozmowę) oraz EwyB, że z nami wytrzymała i dla Was wszystkich, za to że byliście. Niestety atmosfera złotowa mija i trzeba się zmierzyć z szarą rzeczywistością... Jak długo? Nie wiadomo... Niektórzy (w tym ja) będą musieli czekać cały rok...

Guśka

I znowu się zaczęło... Wariacja przedzlotowa. Jechać? Nie jechać? Pakowanie szło bardzo opornie. Brakowało poweru. Odliczyłam zlotowe zero na forum, siedząc bezmyślnie nad plecakiem i porozwalanymi po pokoju przeróżnymi rzeczami, które powinny znajdować się w określonym miejscu. Głos siadł mi niesamowicie, a i nastrój nie taki (wszystko się sypie jak diabli), jednak chęć zobaczenia i pogadania ze wspaniałymi ludźmi była większa. - Przecież jak nie pojedę, będę cholernie żałować - pomyślałam. Postanowione więc, rozpoczęłam pakowanie... Sprawdziłam połączenia, PKP stało przede mną otworem. Rzewa powiedziała, że mnie odbierze z Kłodzka, więc już się nie martwiłam podróżą. Znalazłam jednak PKS do samej Kudowy, bez przesiadek, bez kombinacji. Postanowiłam więc nie jechać po szynach, lecz nie powiadomiłam rzewy. O tym opowiem później, ale teraz przepraszam za zamieszanie. Było już dość późno, a sen nie przychodził. Poszłam do kuchni, by szyneczkę do przypraw wrzucić. Potem spanko... Odwróciłam się na drugi bok i mój ukochany Julian (ten od głupich pingwinów z Madagaskaru) zaczął wołać - "Wstaaaajemy kochaaany, wstaaaajemy, wstaaaaajemy... Szkoda takiego dnia. Pobudka, pobudkaaaaaa... Kto rano wstaje temu co??? Wstaaaawaaaj, nooo wstaaaawaaaj!!! Ssiesz kciuka??? Aaaaaaa!!!! Wyginam śmiało ciało, wyginam śmiało ciało, dla mnie to... mało!" Cudna pobudka, nie miałam czym cisnąć w telefon by się zamknął. Nic to, trzeba było się zebrać z łóżka, włączyć piekarnik i upiec szynkę. Dopakowałam plecak i opuściłam miejsce stałego pobytu o godzinie 8⁴⁵. Rodzina, jak co roku nie pałała entuzjazmem. Takie już jej zadanie ☺.

Moja podróż rozpoczęła się na dobre. Podjechałam busem do Katowic, powlekłam się na dworzec autobusowy. Pani w informacji powiedziała, że bilet kupuje się u kierowcy, oczywiście jak będą miejsca. Czyli jak ich nie będzie, to piechotą.. Ze zdziwioną miną poszłam na stanowisko 9 skąd miałam odjeżdżać. Miałam nadzieję, że będę mogła wyruszyć w podróż. Tam, zaczepił mnie mężczyzna i zapytał: "Nie jedzie pani czasem do Kudowy? Bo może pani pojechać w cenie biletu samochodem - będzie szybciej". Kurde co jest??? Na czole mam napisane, że jadę do Kudowy??? Strzeliłam karpika, włączyłam myślenie i rzekłam do pana - "Nie, dziękuję - uwielbiam podróż PeKaeSem". Zbliżała się godzina przyjazdu autokaru. Przyjechał. Jakież było moje zdziwienie, gdym go ujrzała. On (ten autokar) chyba jeździł od czasu PRL - u. Zastanawiałam się, jak coś takiego przechodzi badania techniczne??? A mnie malucha cofnęli, gdyż miał dziurę w podłodze... Ten miał dziurę nie jedną, a jeździł... No nic wyjścia nie miałam, więc u uprzejmego pana kierowcy zakupiłam bilet i usiadłam na wolnym miejscu. Słuchawki do uszu i gotowa do

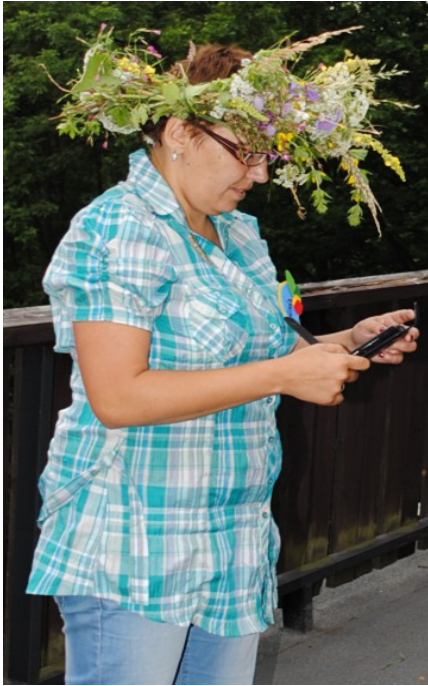


jazdy. Przymknęłam oczy, gdyż krótka noc dawała się znać. Wybiła godzina odjazdu, a wątpliwej urody pojazd dalej stał. Zrobiło się jakieś poruszenie... Otworzyłam oczy, odwróciłam do tyłu, a pan kierowca właśnie wrywał tylne siedzenie (na zdjęciu widoczny jest kawałek

podłogi umiejscowiony pionowo). Zaczął grzebać w jakimś schowku, trzaskać się kluczami... Przyciszyłam radio i... usłyszałam słowa: "Muszę się rozebrać, bo jak inaczej tam wejść". Rany Julek o co chodzi? Jakie rozbieranie, jakie wchodzenie? Kurcze, ja chcę do Kudowy! Planowany odjazd autobusu opóźnił się. Pan coś odkręcał, wychodził, wchodził... Dołączył do niego drugi, który powtarzał niezliczoną ilość razy - Jareczku, damy radę... - to chyba będzie najbardziej znienawidzone imię przeze mnie. Z rozmów można było wywnioskować, że przykręcą jakiś przewód. Zdało się słyszeć dialog pomiędzy mężczyznami: „To jest chociaż ten? Będą jaja jak to nie ten... Powoli, powoli... uciekła... gdzie, o dobra mam, kurde spierniczyła mi znowu! Parzy mnie kolektor, może szmatką tę nakrętkę owiniemy...” Coś przykręcali, coś im uciekało... zapowiadało się cudnie... Minął jakiś czas... Wydawało mi się, że to jakiś Dzień Świstaka, ponieważ dialogi te powtarzały się co jakiś czas. Ja to mam szczęście, ech. Hurraaaaa przykręczone! Pan kierowca z rękami czarnymi po same łokcie wkładał siedzenie na miejsce... Z godzinnym opóźnieniem ruszyliśmy w drogę. Podróż upływała w miarę spokojnie, dopóki jakiś przemiły człowiek z dosyć sporą ilością alkoholu (facet dzierżył puszkę piwa na okrągło w dłoni) nie zaczął śpiewać. Żona go uspokajała, ale on bardzo chciał się pochwalić swoim talentem muzycznym. W końcu usnął... Pan kierowca nadrabiał opóźnienie...

Dojechaliśmy do Kudowy. Wsiadłam z autokaru i zastanawiałam się co dalej... No cóż jakoś musiałam dotrzeć do celu. Nie wpadłam na pomysł by zadzwonić do rzewy i powiadomić ją o zmianach... Mało tego, nie spisałam jej numeru ze starej komórki. Totalny zanik... to chyba

wpływ zlotu. Byłam szczęśliwa, że wyrwałam się z domu, że spotkam tych dawno nie widzianych. Choćbym miała tą Kudowę Zdrój zryć na kolanach to i tak dojdę. Odmeldowałam się Izie, że przybyłam i ruszyłam w drogę. Przed siebie, tam gdzie mi serducho podpowiadało... Szłam i szłam, raz zapytałam, czy w dobrym kierunku idę, i okazało się, że dobrze. Do tego droga była oznakowana gumowymi OSKKOwymi delfinkami, nie sposób było zaginąć. Patrząc na Google map wydawało się, że jest to dość blisko od centrum - oświadczam, że Google map KŁAMIE! Szłam i szłam, i końca nie było widać. Las, las i jeszcze raz las! W między czasie dzwoni do mnie córka, że pani rzewa się do mnie dobija (na stary telefon). Ewa dała znać i powiedziała, że mnie zgarnie. Doszłam do połowy drogi (straciłam wszelaki zasięg, i morda mi się uśmiechnęła - rodzina nie będzie miała nic, przeca to nie moja wina, że zasięgu nie ma...) Nie dałam znaku, nie myślałam o tym, dlaczego? Nie wiem... Czuję się jakbym zwiata z domu i gnała w nieznane... W końcu dotarliśmy do celu. Wreszcie!!! Złot zaczął się i dla mnie... Szkoda tylko, że mój głos został w domu, z wycia nie będzie nic. Nie dam rady. Pierwszy zlot, na którym nie będę w stanie wydobyć ani ciut głosu. Koszmar, no ale cóż, widać tak miało być... i tak zawsze reszta ma dość wyjców, bo im spać nie dają.. Wrzuciłam plecak do pokoju i poszłam się przywitać. Cudnie było ich znowu zobaczyć. Uśmiechniętych, radosnych, zadowolonych... nie tak jak ja... Miałam nadzieję, że ten nastrój udzieli się i mnie. Od razu porwała mnie Aza, dała koszulkę (musiałam podpisać, że takową odebrałam, i bym się nie upominała o następną ☺) i identyfikator. Potem poszłam z Izą na łąkę



zbierać jakieś chaberdzioki. Ale fajnie, znów choć na chwilę będę miała wianek 😊. Chaberdzioki miały robale, więc trochę marudziłam i wcale mi się to nie podobało. Miałam mieć wianek i już, więc rady nie było. Dzięki Izie miałam wianek jak się patrzy. Ja przynajmniej nie doznałam żadnych strat. Dowiedziałam się potem, że Renkę oblaży mrówki (i nie miał jej kto

wybrać ich - tych mrówek znaczy się. No wstyd! 😊), a Azę znalazł kleszcz. Gdzie nie powiem, ale świntuch z niego był i już! Pokój dzieliłam ze Starolijką Małgorzatą i Iwonką (Nowalijką). Ta ostatnia miała wianek z poziomek, nadawał się więc do konsumpcji. W wyniku czego była później obskubywana.



Uściski, rozmowy, dojeżdżali następni... Robiło się gwaro jak w ulu. Rajuśku, ale mi tego brakowało, nawet sama nie wiedziałam jak bardzo. Śmiech na każdym kroku... Ci, co przyjechali w środę mieli na karku burzę. Markowi ponoć zwariował GPS i Renia go zastąpiła (ten GPS znaczy 😊) w wyniku czego była baaaaardzo mokra. Facet to się potrafi urządzać...

Wieczorem odbyło się ognisko i zabawy związane z Nocą Świętojańską przygotowane przez Gabę. Przed tym EwaBe pokazała

nam Róg Obfitości przeznaczony dla młodych. Pamiętam, że włożono tam samochód, i trojaczki. Cudny, zielony (kolor nadziei)...

Dostaliśmy od Gaby Zielony Skrypt do łap i nie było gadania, rany nawet tu nie odpuszczają... Pierwszym zadaniem było wybranie imienia neoprasłowiańskiego. Chłopaki i dziwy wybierali precudnej urody imiona, od Częstochowy przez Dziadumiłę, Olabogę, Radujdziadę po Żyrostawę. Powstawały też inne nie mieszczące się w tabeli, np. Tumipolej. Najwięcej radości sprawił jednak Zbyszek (zesztoroczny rycerz z Komarowa Jeziernego) stał on się Ździebkiem - to chyba taki mały rycerzyk☺☺☺. Dowiedziałam się, jak nazywa się rodzaj paproci - nasięźrzał.



paląc jakieś zioła w ognisku☺☺☺. Pamiętam, że to jakieś torebki były,



chyba dla niepoznaki... całą noc musiała
wkleić, by wyglądało na herbatę
ekspresową. Potem nowalijki zostały
oddelegowane do szukania kwiatu
paproci i... skubane znalazły. Niezłe som one, znaczy, te Nowalijki.
Świetliki pięknie świeciły i wszyscy się nimi zachwycali, dopóki okrutna
prawda wyszła na jaw. Jak zgasną - są bardzo brzydkie i... świecą
tyłkami. Miałam wkleić zdjęcie, ale powstrzymałam się. Faj. Troszkę
pośpiewaliśmy, choć tak do końca śpiewaniem tego nie można było
nazwać. Niektórzy (w tym i ja 😊) utrzymali swoje IQ z zeszłego roku
i dostali list gratulacyjny.

Ci, co wytrwali do samego końca, mieli okazję zjeść ogórki
dwukrotnie zbierane. Pierwszy raz były zbierane, jak urosły. Drugi raz
natomiast, gdy opuściły wiaderko. Swoją drogą, były niezłe. Muszę
jeszcze dodać, że Jerzyk w okrutny sposób potraktował dwie strony
z mojego zeszłorocznego śpiewnika, by pozapalać świeczki z Ikei.

W piątek rano udaliśmy się do Czech, do Skalnego Miasta.
MarekBe w czasie drogi rozweselał nas tłumaczeniem na język czeski.
Porucha na rypadle miała oznaczać awarię koparki. Nic w tym dziwnego
i śmiesznego przecież 😊... Panów uprzedzał by czasem nie pomylili
diwki z *diewką*, bo mogłyby być wielkie kłopoty. No i, żeby nikt z nas
niczego nie *szukał* a już w szczególności *szczotki* - bo w dziób
murowane. A jak już szukać to po czesku - *hledać*. Dowiedzieliśmy się,
by faceci nie zadawali się z *lekką delikwentką* (że niby ona taka lekka,
bo szczupła - nic z tego - coś o tirach było... może je sprząta? 😊).

Najwięcej radości sprawił mi cytat: „Kobieto - puchu marny” - taki piękny monolog, a Czesi potrafią to spaprać - „*Diwko - ty rozdarte pirze (pamiętaj, nie dziewko!)*”. Kolejnym powodem do śmiechu był cytat z Listu do Koryntian. Piękny i wartościowy („Miłość się nie obraża i gniewem nie unosi”) ale jak tu nie brechtać w czeskim kościele słysząc słowa: „*Laska se ne vydyma i ne vypina se*”. Pięknie brzmi - nieprawdaż??? Kurde zapomniałabym napisać o modlącej się zakonnicy. Ta ma fajnie, bo jest *żikającą jeptiszką*.

Dojechaliśmy... Niestety zaczął padać deszcz, więc musieliśmy rozpocząć turystykę barową. Szczerze mówiąc, chyba nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Wypiliśmy po czeskim piwku (przez pomyłkę dostało mi się ciemnie piwo, którego nie znoszę, ale Krzysztof wyratował mnie z opresji - za co dziękuję) i ruszyliśmy w drogę. Część z nas postanowiła kontynuować turystykę barową - jakże w efekcie męczącą. Był tam jeszcze park linowy, mogło być zabawnie, ale czasu nie było. Do tego pogoda jak w kalejdoskopie, deszcze przeplatał się ze słońcem.

Udaliśmy się do Skalnego Miasta. MarekBe gonił nas między olbrzymimi skałami, zmuszał do wysiłku wyobrażania sobie czegoś... Były małpy, organy, tyłek słonia bez ogona i wiele innych. Także *Zakochani* wzbudzili we mnie podziw, a w szczególności Koko Zakochanego. Patrząc ku górze miałam wrażenie, że tam same takie som.



Poszliśmy do jaskini zobaczyć jak pięknie płynie między skałami woda -

zwane to było wodospadem. MarekBe kazał nam wołać: „Karkonoszu, daj wodicku”. Wołaliśmy kilka razy i w końcu wodospad lunął wielką ilością wody. Jacy byliśmy zadowoleni i uśmiechnięci... Do momentu, gdy padło hasło, że to Karkonosz wyszedł z toalety i spuścił wodę. Euforia znikła... Okazało się jednak, że Marek po raz kolejny nas wkręcił, przyciskając w ścianie magiczny guzik.

Łaziliśmy góra - dół, dół - góra. Najbardziej zniechęceni przeze mnie zostały wąskie schodki, które prowadziły do tajemniczego jeziorka. Tam przywitał nas przesympatyczny pan, który miał znakomicie mówić po polsku. Pan znakomicie mówił, a i owszem, ale po czesku... I znów Marek nas wkręcił... Zresztą nie tylko nas. Przesympatyczna kobietka też stała się ofiarą jego żartów. Flisak (tak się go chyba zwie) zaprosił nas do łodzi (Titanic 2, bo 1 zakończył swój



żywoł pod wodą). Najpierw zapytał nas czy mamy testament. A w razie jakby statek zatonął - dodał, że Ci co umieją pływać mają skakać na lewo, a Ci co nie umieją - na prawo (by sobie wzajemnie nie przeszkadzać). Mijaliśmy Kapitana Castro, który stojąc na brzegu powiadomił nas, że płyniemy do krematorium. No przezabawne. ☺☺☺

Płynęliśmy, a przemiły Czech raczył nas opowieściami o Szuwarku. Bidok miał czerwone oczy (ten szuwarek znaczy się), ponieważ je wyplakiwał z powodu alkoholizmu swojej żony. Ta zaś miała czerwony nos od picia i niebieskie oczy od... denaturatu. No niebieskookie niewiasty, może soczewki koloryzujące ☺... Widzieliśmy Krecika i inne cudeńka. Jezioro się kończyło i pan powiadomił nas o najszybszym, opatentowanym w Czechach sposobie obrotu łodzi. Musieliśmy wstać, obrócić się, przejść przez ławeczkę i klapnąć tyłkiem z powrotem na swojej. Niektórym sprawiło to problem (Jurek odwrócił się, lecz usiadł na mojej ławce), więc trochę sobie postaliśmy - rycząc ze śmiechu. Z zaciekawieniem patrzyłam na osobliwość przyrodniczą - korzeń, który rósł do góry. Były dwie teorie, dlaczego on się tak wspina. Pierwsza mówiła, że na górze stoi piwo, druga natomiast mówiła coś o zakopanej wiagrze. Wycieczka po jeziorze dobiegała końca, przybiliśmy do brzegu i powiadomiono nas, że kobiety wysiadają na prawo (do wody) a faceci na lewo i lecą na piwo. Żartowniś kurtka wodna. Zebraliśmy się do dalszej drogi. Niestety zaczęło grzmieć i padać, więc skróciliśmy wycieczkę, wracając do tych co aktywnie uczestniczyli w turystyce barowej. Razem z Renią zamówiliśmy piwko (szklanki im musiały zniknąć, ponieważ brali kaucje) i serek w butce. Ciągnęło się to jak diabli, ale ile miałyśmy frajdy, tego nie wie nikt. Wycieczka zbliżała się ku końcowi. Jeszcze tylko zakupy w czeskim sklepie (nie obyło się oczywiście bez lentilek ☺) i na ognisko. Jakie było nasze zdziwienie, gdy po przyjeździe zobaczyliśmy na betonie grad.



Czasu na drzemkę nie było (zresztą, jak co roku). Pięknie pachniała karkówka i bigos. Gdy już zaspokoiliśmy głód, trzy panie z SZOKE (Samozwańcza OSKKOwa Komisja Egzaminacyjna) w skład której wchodziły: Małgosia, Ala i Gaba, rozdały nam Egzamin zlotowy z zakresu trendów oświatowych (poziom rozszerzony). Pamiętam, że była kobieta od niebezpiecznych kopert, ale która?? Bałam się wychylić. Musiałam podać KOD i PESEL, a także zaznaczyć dysfunkcje jakie posiadam. Większość z nas charakteryzowała się wszelakim



dysfunkcjami: od dysleksji, dyskopatii po dysplazję. Dokładna instrukcja pozwoliła rozwiązywać test. Napisane było co zrobić jak się człowiek pomyli. Gorzej jak się ktoś pomylił znowu, bo wtedy w głowę kazali się pukać! Dały nam w łapy Koty Kreskowe, ni jak nie mieszczące się w miejscu przyklejenia. Gadania jednak nie było - kleić i już! Gaba z dwoma spluwami (jak Kapo) pilnowała, by nikt nie ściągał. Pytania były cudne. Ci, co byli znają - reszta niech zazdraszczą! Tak się intelektualnie można rozwinąć tylko na zlocie. Starym zwyczajem zaczęło lać. Cieszyłam się, że na wszystkie pytania odpowiadałam, a SZOKE unieważniło sprawdzian, ze względu na niezachowanie procedur. No i jak to jest??? Jak się już coś człowiekowi uda, to mu przywala z innej strony... Tyle chociaż dobrego, że SZOKE się podało do dymisji. Niestety, musieliśmy się przenieść do

budynku, lecz dzięki temu - byliśmy w kinie wspominając minione zloty. Ile rok może zrobić z człowiekiem..



Otworzono bar, na którego czele stanęła Iza - została bufetową. Z pomocą przyszli jej AsiaJ, Sławek i Piotr. Ktoś z sali złożył zamówienie (niestety nie pamiętam kto), a bufetowa wychyliła się z wrodzonym sobie wdziękiem i wrzasnęła „Goń się!”.

Dużą atrakcją było poroże, które wisało sobie na ścianie na takiej wysokości, że większość z nas robiąc sobie w tym miejscu zdjęcia - wyglądała cudnie. Niestety nie mogę wrzucić zdjęcia, bo mi wariuje wszystko...

Nie miał kto brzdękać, ponieważ Główny Wioślarz zaczął kapryścić, że on tylko niszowe, że te inne to plebejskie, to wstyd i obraza... Za gitarę chwyciła więc Iza, która dowiedziała się że "Gdyby ten drwał



słyszał jak gra, to 30 lat temu gdy rąbał drzewo, aby ta gitara powstała - to by się zabił". Było jeszcze kilka takich milusich powiedzeń, ale to już zostawię dla siebie☺. Gwar, rozmowy, śmiechy - raj dla strapionych dusz. Dodam jeszcze, że bawiliśmy się świetnie. Markowi udało się nawet porwać towarzystwo do tańca... Na załączonych (powyżej) obrazkach

widać, że (o dziwo ☺), nikt sobie nie przeszkadzał (ani wioślarz, ani tancerze). Nadchodził czas, by oddać się w ręce nocy... Dzień był dość wyczerpujący, a w sobotę mieliśmy jechać ślub pana Tomka. Trza było więc jakoś wyglądać.

Sobota rano... Nie sposób nie wspomnieć o pokoju przechodnim, dzięki któremu można się było szybciej dostać na taras. Ci, co tam spali (a było to 8 osób) mogli zapomnieć o popołudniowej drzemce. Ruch jak w ulu. Najwięcej radości sprawił nam Ździebko, który zapytany przez nas czy nie chciałby przejść na taras, rzekł z zakłopotaniem: „Przepraszam, ale ja tu mieszkam i idę do pokoju”. Było tam przezabawnie. Leciąta telewizja na żywo - fascynujący film akcji na kanale 6, z datą 01.01.2000 r. Napomknę również (ponieważ spał tam rycerz) o Izie, mającej na łóżku 2 nagie miecze (ale to było chyba w czwartek). Sławek chciał w związku z narzędziami jakie posiadał Nassssy (kurde ta ilość s doprowadza mnie do szału, bo muszę albo dopisywać, albo kasować - będę używać jednak jego imienia) zrobić Izie manicure. Niestety zdjęć nie wkleję, bo mało wyraźne. Jednakże gdyby Iza nie sprzeciwiła się, to miała by spokój przez bardzo długi czas ☺☺☺. Potem Piotrek przeglądał swoją skrzynkę. Znalazł w spamie mail, który informował go o środku w sprayu, który ma pomagać i jest do użytku wewnętrznego (nazwy nie podam, domyślajcie się, a co! ☺). Myślałam, że na moje zachrypnięte gardło pomoże, ale to nie na to... Tematy rozmów były przeróżne i przekręcane w sposób ciekawy, dające wiele nowych skojarzeń. Nie wiadomo czemu plaster depilacyjny stał się tym od koncepcji anty. Nauczyłam się grać w nerwusa

(szukałam w necie i nic na ten temat nie znalazłam - z tego wynika, że wymyślone zostało). Najpierw Sławek grał z Piotrkim, i trochę mu nie szło... Sławkowi znaczy się. Dołączyłam więc do niego i graliśmy na cztery ręce. Ale kosiliśmy, Piotrek wtopił 3:0, więc od razu zmienił zasady gry. Sławek twierdził, że kolega zawsze tak robi, gdy sytuacja nie jest sprzyjająca dla niego (Piotra znaczy się ☺).

Pisaliśmy życzenia dla „młodych” i zawitał do nas Jerzyk (do nas - znaczy pokoju przechodniego - tam tętniło życiem), któremu opadł... poziom intelektualny (ktoś nawet zaproponował plaster ☺), więc męczyliśmy się by mu pomóc w układaniu tychże życzeń. Po godzinnej burzy mózgów, wykorzystaniu talentu Iwonki oraz Internetu, Jerzyk napisał „100 lat młodej parze”. Oszłamiające życzenia, wymagające od autora wielkiego zaangażowania ☺...

Zaraz po obiadku wyruszyliśmy w podróż przedślubną, musieliśmy się więc przygotować do drogi. Piotruś wywabił plamę z truskawek - sokiem pomarańczowym (mówili mi nazwę, ale nie powiem, coby reklamą nie okazało się), zmieniła więc kolorystykę z czerwonej na niebieską (zbliżoną do pasków na koszuli), więc było ok. Zdziwiłyśmy się z Izą, po jakiego grzyba paćkał koszulę sokiem, skoro i tak włożył inną. Ale to jeszcze nic, po przyjeździe do samochodu stwierdził, że to nie to co chciałby nosić, więc zmienił na trzecią. Miał też rewelacyjną kamizelkę z barana (a może z muflona ☺)... A mówią, że to kobiety się przebierają...

Nic to, wsiedliśmy do samochodu: Piotrek - kierowca, ja, Małgorzata i EwaBe. Nie wiem czemu, ale miałam wrażenie, że

będziemy „wesółym autobusem”. Jak się potem okazało, miałam rację... Ale wszystko po kolei... Wyruszając w drogę z uśmiechami na twarzy (tzn. my w dwójkę, bo pasażerom z tyłu jakoś do śmiechu nie było - ciekawe czemu??) Zatrzymaliśmy się, bo chcieliśmy bukiet z polnych



kwiatów zrobić. Mieliśmy ponad 2 godziny czasu. My zbieraliśmy cudnej urody fioletowe kwiaty, a Ewa nerwowo paliła papierosa. Czyżby to nasza wina? Nie, na pewno nie ☺. Piotruś zaproponował mi „pohasanie”, więc szłam za samochodem i zrywałam kwiaty. Bukiet zrobiony, czas było ruszać w drogę. Fajniśta wyprawa się szykowała, obawiam się, że tylko dla nas. Powinniśmy dostać miano ZLOTOWYCH ŚWIRÓW (Dorotko nie zabij mnie, taka potrzeba jest ☺).

Piotr nie posłuchał rad pilota (moich znaczy), pojechał po swojemu i... droga się skończyła. Nie chciał zapytać kobiety z fioletowym

włosami o drogę, nie mówiąc już o facecie... Ewa jednak zrobiła go w konia, bo powiedziała do miłego pan dzień dobry i rzekła - Piotr pytaj. Znow śmiech rozległ się w czerwonym samochodzie☺. Zwykły objazd, a tak nam plany zrujnował. Ścinawkę Średnią objechaliśmy z dwóch stron. Ewa w międzyczasie dostawała sesemesy od Asi, która prosiła o wpisanie do pamiątkowej książeczki życzeń od niej. Stało na tym, że będzie to „cokolwiek”. Nawigacja stawiała się coraz nudniejsza, nic tylko - „zawróć, gdy to będzie możliwe”. Po drodze dowiedziałam się , że nie mam trąbki Eustachicznej, lecz już nie kojarzę, w jakich okolicznościach to było. Tyle się działo... Wyruszyliśmy w stronę Jungowa na przełęcz. Piotruś zgubił tam kiedyś ukochanego misia (na ognisku wspominał, że było to 20 lat temu - on był małym chłopcem ☺☺☺), a teraz miał okazję by go odnaleźć. Niestety poszukiwania spęły na niczym. Mimo dużego zapasu czasu, była szansa, że się spóźnimy. Ewa stwierdziła, żeby sobie na piechotę tego misia przyszedł szukać kiedy indziej. Dość szybka jazda wprowadziła niepokój w głosie naszej jednej z pasażerek (zgadnijcie której ☺☺☺), druga w ogóle milczała. Klima chłodziła niemiłosiernie, nawet się zrobiło zimno... Złożyłam cichutką prośbę o zmniejszenie ilości zimnego powietrza.. I na jakież to szalony pomysł wpadł kierowca?? Nagle poczułam jakbym siedziała na płycie kuchennej. Było mi gorąco w tyłek. No tak, narzekałam na zimno - to teraz miałam za swoje, wariacja na kółkach. A jego radość nie miała końca.

Zajechaliśmy w końcu pod kościół (nawet zostało nam jeszcze 15 minut). Młodzi wyglądali ślicznie. W końcu kwiatków polnych nie

dostali, bo zdechły na tylnej szybie. Ksiądz uraczył nas nietypowym kazaniem... Było o myciu stóp, o pra, pra, pra, pra wnukach i o spotkaniu się po 109 latach (pojechał po bandzie ☺). Nawet pomylił imię młodego... W pewnym momencie Piotr stwierdził, że po stronie młodego jest dużo mniej osób (z racji miejsca zamieszkania), zaczęliśmy więc kombinować. Rajuśku, co nam z tego wyszło. To niestety jest tylko dla naszych uszu, ale radości było mnóstwo. Ławka, w której siedzieliśmy mimowolnie drgała od naszego rechotu. Wspomnę jedynie, że do 55 osób, które naliczył Piotr dodaliśmy jeszcze 20 osób (zaangażowane były w to jeptiszki, przy czym wiek odgrywał bardzo ważną rolę☺). Obsypaliśmy młodych ryżem, złożyliśmy życzenia...



Pstryknięto nam pamiątkową fotkę (jedni stali, drudzy kucali, a inni - nie wiadomo co☺) dostaliśmy weselną, ciasto (znaczy nam do samochodu nie dali - bali się chyba, że wsuniemy ☺) i wracaliśmy do ośrodka.

Ewa stwierdziła, że na pewno nam zostawią kolację, by Piotrek nie jechał za szybko. Załapaliśmy się do orszaku weselnego, a co za tym idzie trzy „bramy” (jedna była do niczego). Minęliśmy dom weselny z dłuuuuuuuugim klaksonem i głośną muzyką. Niech im się wiedzie!!!

Nasze współpasażerki miały chyba dość wrażeń. Czas umiłał nam Nohavica. Kierowca przegapił zakręt i tak mocno zahamował, że

zatrzymałam się na wysokości lusterka. Muzyka płynęła z głośników, więc Ewa sobie przysnęła... Porozumiewawczy wzrok skierowaliśmy na siebie i dbając by „Duch w narodzie nie zaginał” Piotruś pokręcił nerwowo kierownicą w lewo i prawo. Obudziła się bidula z lekkim przerażeniem. Coś wykrzykiwała, ale nie zrozumieliśmy, bo... cieszyliśmy się jak dzieci. Ukłon dla Ciebie - EwoBe, że nie zwariowałaś z nami. Postanowiliśmy się ciut uspokoić i zaczęły się dyskusje o... szkole, bo jakby inaczej. Dialog, który utkwiał mi w pamięci, a dotyczył on programu komputerowego, co to się w bibliotekach znajduje.

- Masz „mola”? - zapytałam Piotra.
- Nie, nie mam - odrzekł.
- To co masz? - zapytała Małgorzata.
- A on jest z Optivum? - pytanie Piotra.
- Tak - rzekłyśmy chórem.
- To mam!

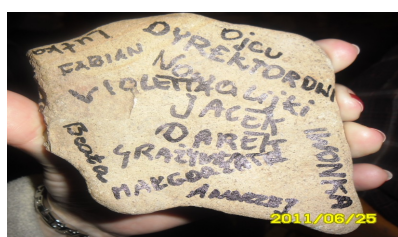
I rozległ się rechot... Było przezabawnie. Rozmowa o asertywności (a właściwie o jej braku) sprawiła, że w odtwarzaczu znalazła się płytka „Asertywny Dyrektor” - Piotruś przeprowadził mi szybki kurs, trzymając palec na przycisku przewijania. Usłyszałam coś o zdartej płycie i Małgorzata stwierdziła, że na dyrektora się jeszcze nie nadaje. I pewnie nigdy nim nie będę ☺...

Podróż miała się ku końcowi. Ewa podziękowała Piotrowi za przywiezienie w całości. Była chyba w lekkim szoku. Zasiadła do kolacji i... mało by nie spadła z krzesła. Nie zauważyła, że było ciut

rozeschnięte. Było fajnie i zabawnie, postanowiliśmy kontynuować nasze wariacje. Renia poprosiła Piotrka, by podał jej ser. Jakże by mógł być nieuprzejmy, wziął ser palcami, ale chcąc być kulturalnym nabił go na widelec. I znów śmiech rozległ się po sali... Mój ekspresjonizm powoli powracał (fakt, nie jest taki jak kiedyś, ale to może i lepiej☺). Ewa chciała chleb, ale nie skorzystała z naszej uprzejmości - musiałby przejść przez 10 rąk. Miała nas chyba dość. Ale trzeba było przyznać była dzielna!

Zbliżał się wieczór, ostatni wieczór w Kudowie. Na samą myśl robiło się smutno. Czekał nas jednak jeszcze „chrzest Nowalijek”. Cztery drużyny miały za zadanie wygłosić relację z wyprawy do Skalnego Miasta w postaci: kazania księdza, sprawozdania sportowego, protokołu milicjanta i slangu małolatów. Słuchało się tego precudnie. Nie będę opisywać, pewnie to będzie ujęte w protokole, jakby co to odwołanie... Nowalijki dały taki popis, więc bez trudu weszły do grona Starolijek.

Jednakże w ramach wazeliny postanowiły wręczyć Ojcu Dyrektorowi - kamień węgielny. Warunkiem jego otrzymania, było własnoręczne zwędzenie go sprzed ośrodka, bo



nie należał do nich. Waga ok. 50 kg, więc prezent raczej zostanie na swoim miejscu. Dostał jeszcze mały kamyczek i drugą twarz.

Po wazelinowaniu odbyła się Ceremonia OSKKO - rów. Kategorie przeróżne:

- *Dziewicze czyli jak dobrze być poziomką* - Iwonka,
- *Noc Świętojańska czyli neoprastowiańskie cuda nie widy* - Gaba,
- *Hymny zlotowe czyli tylko nam Ciebie brak* - Hania,
- *Gawędzimir czyli legendy sudeckie i nie tylko* - Marek Be,
- *Reżyseria czyli przeżyjmy to jeszcze raz* - Marek Be,
- w kategorii *Ojciec Dyrektor czyli wszystko na mojej głowie* oraz *Za całokształt* - Marek Pleśniar, (się mi jako jedyny podkreśla skubany...)

Jak co roku ujawniły się Dobre Duchy Zlotu. Pięknie się prezentowały. Zastanawiano się, czy jak dostaniemy dyplomy uczestnictwa to pojedziemy sobie do domu. Przyrzekliśmy, że zostaniemy - więc otrzymaliśmy je. Oddali nam również unieważnione egzaminy zlotowe - tylko coś mi się nie zgadzało. Dostałam inny, ja miałam więcej dysfunkcji. Najważniejszym jednak było to, że w kodzie z G35 - zrobiło mi się R48. Jedna noc i taka zmiana... (Wymianę G na R kichał pies, ale 35 na 48 - to 13 lat...)

Kurczę ostatniego dnia odzyskałam ciut mojego głosu, i piosenki, które nie miały racji bytu - nawet nam nieźle poszły.

Małgorzata chciała, by Marek zagrał „Pocztówkę z Beskidu” na co on jej odparł, że nie zagra, bo jest szczerą (ta pocztówka znaczy się). Nie obyło się oczywiście od „życzliwych” uwag Prezesa względem mojej osoby i odwrotnie... To taki zlotowy zwyczaj, bez którego nie mogłoby się obejść ☺. Obiecał mi gumowe OSKKO, które wskazywało drogę

dojechania czy dojścia do ośrodka (jak słusznie zresztą Ala nazwała bannerem). Na ścianie pojawiła się karta zwana „ścianą płaczu”. Tam wszyscy się mogli zażalać o co tylko chcieli (zdjęcie ściany płaczu usunęłam - mało widoczne)... Niestety poranek zbliżał się, a kierowcy musieli się wyspać, więc powolutku rozchodziliśmy się do swoich pokoi. Ja też zawitałam do pokoju, ale jakoś spać mi się nie chciało. Iwonka stwierdziła, że jednak lubiła mój ból gardła, bo się kładłam i spałam. A dziś jak ręką odjął... Zajrzałam do Izy, ale ona raczej udusiłaby mnie za zakłócanie ciszy. Wycofałam się więc cichutko i wróciłam do piątki. O 2³⁰ - Iwonka chciała wpaść w ramiona Morfeusza i nie tylko... jeszcze coś chciała dodać, ale włączyła autocenzurę w obawie, że sobie to zapiszę. Udałam się w stronę łazienki, ale gdy tylko coś mi się przypominało, powiadamiałam o tym moje współlokatorki. I tu padły słowa przemitej Nowalijki: „Jeszcze raz wyjdiesz z tej łazienki, to cię wykopię”. Nic to, po kursie, jaki przeżyłam w samochodzie, zachowałam asertywność i odrzekłam: „Nie możesz wykopać mnie z łazienki, gdyż będzie mi przykro, a do tego się nie umyję”. Siedziałyśmy i gadałyśmy jeszcze przez chwilę (tzn. ja gadałam), musiałam jednak odpuścić, bo ranek zbliżał się nieubłaganie. Wiedziałam, że droga do domu będzie wesoła, gdyż miałam wracać z Piotrem.

Niedzielny poranek - mało lubiany czas przez złotowiczów. Czas pożegnań... Przyszła pora zrobić zdjęcie grupowe, co oznaczało wyjazdy do domów. Marek zwyczajowo, na leżąco na czele



peletonu... No tak, i dostałam obiecane gumowe OSKKO, to które dzierzę w dłoni... Będę wpatrywać się w widoczne tam delfinki z utęsknieniem czekając na następny zlot. Walnę je w najbardziej widocznym miejscu w domu☺. Po śniadaniu ośrodek zaczął pustoszeć, przyszedł czas i na nas. Ale to nie koniec opowieści...

Podróż powrotna... Każdy o zdrowych zmysłach chciałby przeżyć coś takiego☺... Zazdraszczajcie wszyscy!!!

Wsiedliśmy do samochodu, jednak okazało się, że Rzewie nie chce odpalić bryka. Piotr cofnął się, puścił muzę na full i poszedł przyglądać się jak wygląda podpięcie kabelków. Samochodzik odpalił, więc wyruszyliśmy w podróż...

Przy wyjeździe z Kudowy towarzyszył nam „początkujący harlejewiec”. Bidula, być może robił za **Lisa**. Cieniutki, chudziutki... Nie, niestety nie... mijali go, Ci bardziej zaawansowani... Musiało mu być głupio... Ale nie poddawał się. Guru w poniemieckim kasku... Przed nami mknęli dawcy organów... Piotr postanowił zjechać z głównej drogi... Pierwszy raz w życiu zobaczyłam wyjątkową zimową miejscowość - Zieleniec. Wyciąg obok wyciągu... Tu przytoczę opowieść Piotra:

Czasy dawne... PRLowskie... kilka wyciągów na krzyż. Stoję sobie w długiej kolejce do wyciągu i cierpliwie czekam na swoją kolej... Nagle słychać: „Uwaga narta, uwaga narta” (kiedyś nie było stoperów, więc było zabawniej - stwierdzenie autora opowieści☺). Ludzie znudzeni obracając się mówią „Uwaga - narta!”. Cóż w tym dziwnego?? A no nic... narta leci (znaczy spada w dół)... i tu się pojawia zwrot całej sytuacji... Przy drodze ustawione są samochody, różnej marki.

Jednakże na drodze owej narty (bez hamulców wtedy) stanął trabant. Plastikowy trabant. I co zrobiła ta biedna narta??? Władowała się w tego trabanta, przelatując go☺. Właściciel czekał chyba do wieczora by się ujawnić. Cudnie się tego słuchało... Druga wiązała się umiejętnościami jazdy na nartach... Autokar jechał... a narciarze na skrótach... Umawiali się w konkretnym miejscu, lecz autokar nie czekał. Kto zdążył - wsiadł. Siroty, które nie posiadały odpowiednich umiejętności, dylały 2 km w butach narciarskich...

Zatrzymaliśmy się w Dusznikach Zdrój... lecznicza woda i w ogóle... się okazało, że ta woda (Jana czy jakiegoś tam) miała posmak taki, jak z zardzewiałych rur. Koszmar jakiś... Zęby zgrzytały mi, jak po upiornej nocy. Wątpliwy posmak towarzyszył mi jakiś czas. Jechaliśmy dalej... szukaliśmy stacji benzynowej. Miała być niedaleko, lecz okazało się, że krążyliśmy w koło. Najpierw mieliśmy mieć 2,8 km, potem wyszło, że 5,4... Pierwsza stacja była zamknięta, na drugiej nie było gazu... Nawigacja znów nas skierowała na ta zamkniętą... Stwierdziliśmy jednogłośnie, że nawigacja na pewno nie była z Kłodzka. Udało nam się w końcu zatankować, ruszyliśmy więc dalej... Mały postój w Opolu. Dawno tam nie byłam... Zajrzeliśmy do Laboratorium, piwko w tym upale okazało się zbawienne. Potem udaliśmy się na zakupy. Muszę wspomnieć o pasztecie w cenie 22 zł/1/2 kg, co go Piotr wyjadał z za lady. Pan, który sprzedawał ten pasztet był chyba ciut zdziwiony. Urzekła mnie bardzo szkoła Piotra, i to co robi. Wszędzie „poniewierały się” wielgaśne miecze. Skoro wydanie zmienione, to muszę dopisać, jak Piotr szukał po polach jakieś zielska, niestety nie

znalazł... Droga dobiegła końca. Rany, jakie dzieciaki były zadowolone, chyba muszę częściej wyjeżdżać ☺☺☺.

Dziękuję, po prostu dziękuję wszystkim za przepięknie spędzone chwile. Chyba już brak mi sił by opowiadać, albo wyczerpały się moje zasoby☺. Zresztą, każdy powinien

wiedzieć, kiedy skończyć☺. Jako

dopełnienie załączę zdjęcie...

Zdjęcie, które sprawiło mi

mnóstwo radości☺. Mam OSKKO



w domu. Starsza córka pomagała mi to przygwoździć - bardzo jej się spodobało i stwierdziła, że to najfajniejsza rzecz jaką przywiozłam.

Dodam, że na początku była niezła draka, ale teraz nikogo już to nie wkurza i wisi sobie nadal nad wejściem do pokoju, w którym mamy wszelakie papiery i inne badziewia. Jak ktoś czegoś szuka to pada hasło: „Pewnie leży w biurze”. A w biurze, jak to w biurze - nic nie można znaleźć ☺☺☺.